

MACIEJ JANOWSKI

<https://orcid.org/0000-0002-2966-0227>

Instytut Historii PAN, Warszawa

Ad 1. Wymienienie przez Redaktora „Kwartalnika Historycznego” niepełnej przecież listy polskich historyków, którzy odeszli w ciągu 30 lat niepodległości, uświadamia zmianę, która dokonywała się stopniowo. Nagle zauważam oto, że wiele z tych osób jest dla mnie jakby wciąż żywych; z ich zdaniem liczę się bardziej niż ze zdaniem żyjących. Tym cenniejsza jest ankieta taka jak ta, która zmusza do otrząśnięcia się z tego patrzenia w przeszłość, a skupienia się na współczesnej polskiej historiografii. Ale strasznie trudno to zrobić. Jest zapewne oznaką starzenia się, że nie widzę dzieł genialnych w historiografii światowej ostatnich dekad. Kto jest dziś na świecie Jacobem Burckhardtem, Johanem Huizingą, Fernandem Braudelem? A u nas? Kto z naszych kolegów czy koleżanek jest dziś Lelewelem, Bobrzyńskim, Handelsmanem, Konopczyńskim, Kukielem, Wereszyckim, Małowistem, Witoldem Kulą? Jest ktoś taki? Niewykluczone, że jest, ale ginie w tłumie. Kiedy wchodzę do księgarni Prusa na Krakowskim Przedmieściu czy do jakiejś księgarni berlińskiej lub wiedeńskiej, kiedy odwiedzam stronę internetową Amazon i oglądam książki historyczne albo przeglądam artykuły na różne tematy na JSTOR, jestem przytłoczony samą liczbą publikacji — gdybym chciał przeczytać same tytuły ich wszystkich, nie mówiąc już o treści, życia by nie starczyło. Jakakolwiek próba zorientowania się w trendach współczesnej historiografii jest z definicji skazana na porażkę.

Ale niewykluczone, że jest jeszcze inny powód tego, iż nie widzę wielkich historyków; nie tylko zalew publikacji, niepozwalający dostrzec dzieł wybitnych, ale być może także jakaś, niejasna dla mnie, przemiana wewnątrz samej struktury historiografii; taka, która sprawia, że wielkie indywidualności ustępują na rzecz pracy zbiorowej. Jeśli by tak było, byłbym niepokieszony, bo byłoby to oznaką upadku naszej dziedziny wiedzy, która, jak cała humanistyka, rozwija się przez wielkie wizje wybitnych jednostek bardziej niż przez mrówczą pracę badaczy przeciętnych. Mam jedynie nadzieję, że tak nie jest.

To powiedziawszy, można byłoby nakreślić dość przypadkowe obserwacje o polskiej współczesnej historiografii epoki, którą się zajmuję, a więc XIX w. Cieszy mnie rozwój badań na niektórych polach, dawniej zaniedbanych, które mnie osobiście bardzo interesują. Późne oświecenie, od trzeciego rozbioru do lat dwudziestych, doczekało się bardzo ciekawych analiz; historia Galicji, nie tylko z punktu widzenia działających w zaborze austriackim ugrupowań insurekcyjnych, ale pod kątem funkcjonowania systemu politycznego w ramach Austro-Węgier, stała się przedmiotem interesujących i ważnych prac, choć wiele jeszcze jest tu do zrobienia. Niepolskie narodowości ziem dawnej Rzeczypospolitej przyciągają coraz więcej uwagi badaczy. Jednocześnie jednak wciąż utrzymuje się rozdział między historią *sensu stricto*, a historią literatury, sztuki, filozofii, kultury. Te bariery dyscyplinarne, łączące się z odmiennością terminologii, niestety trwają w najlepsze. Mam wrażenie, ale może to złudzenie perspektywiczne, że różne interesujące trendy badawcze łatwiej i szybciej są stosowane w badaniach dziejów dawniejszych, a czasami nawet dziejów najnowszych, niż w badaniu „mojego” wieku XIX; że mediewiści i badacze wczesnej nowożytności bardziej niż dziewiętnastowiecznicy potrafią odwoływać się do perspektywy antropologicznej przy badaniu takich zjawisk jak choćby ceremoniał władzy; że częściej i skuteczniej niż badacze XIX w. sięgają do analizy dzieła sztuk plastycznych czy też dzieła literackiego jako źródła historycznego. Jeśli tak naprawdę jest, to przed dziewiętnastowiecznikami stoi ważne zadanie przebudowy warsztatu; zadanie, które się powoli dokonuje, ale na zbyt małą skalę.

Takie rozważania można by kontynuować, ale wydaje mi się, że o rozwoju historiografii świadczą nie tyle zajmowane przez nią coraz to nowe pola badawcze czy nowe metody, ile wybitne indywidualne dzieła. Można napisać pracę wybitną, nawet genialną, w dziedzinie tradycyjnej, od dawna już badanej. Można wejść na najbardziej fascynujące, najbardziej nowatorskie pole badawcze — i napisać pracę trzeciorzędną, wtórną, bezmyślną. Pewnie mógłbym wymienić kilka czy kilkanaście polskich książek historycznych z ostatnich 30 lat, które mnie zafascynowały — ale bardzo trudno byłoby mi odpowiedzialnie powiedzieć, jakie nurty czy dziedziny rozwijają się najlepiej.

Ad 2. Jak sobie wyobrażam rozwój polskiej historiografii? Szczerze: w ogóle go sobie nie wyobrażam. Nie da się przewidzieć wynalazków, pisał Karl Popper w *Nędzy historycyzmu*, bo przewidzieć wynalazek to to samo, co go dokonać, a wtedy nie jest on już przewidziany, tylko realny. W ten sam sposób nie można przewidzieć przyszłych idei. Mogę co najwyżej powiedzieć, jak chciałbym widzieć rozwój. Świadomie pomijam w tej wypowiedzi wszelkie kwestie organizacji nauki, jej finansowania

i rozliczania jej wyników. Są one ważne, ale czasem mi się zdaje, że mówimy i piszemy o nich zbyt często, tutaj chciałbym się więc skupić na kwestiach intelektualnych, w ostatecznym rozrachunku najważniejszych. Wąskość spojrzenia i powierzchowność myślowa jest największym zagrożeniem. Trzeba podejmować problemy, nie chronić się w bezpiecznym przyczynkarstwie pod pozorem, że sprawy nie są jeszcze zbadane na tyle, aby przedstawić je szerzej. Większe uwzględnianie kontekstu międzynarodowego w najróżniejszych konstelacjach jest tu chyba najważniejsze, co nie znaczy, że ma to służyć wydobywaniu typowości historii Polski; nawet jeśli chcemy wydobyć jej odrębność, możemy to zrobić wyłącznie poprzez porównania. Chodzi zresztą nie tylko o kontekst międzynarodowy dziejów Polski, ale o coś więcej – o badania nad historią powszechną, również pozaeuropejską. Osłabły niestety prowadzone dawniej polskie studia dziejów Afryki i Ameryki Łacińskiej. Myślę, że badania historii powszechnej są ważne nawet nie dlatego, że doprowadzą do jakichś fundamentalnych odkryć; zapewne polskie instytuty historyczne nie staną się w przewidywalnej przyszłości światowej rangi centrami badań nad przeszłością Japonii, Indii czy Afryki Równikowej. Ale żeby móc prowadzić dydaktykę na wysokim poziomie, żeby pozostać w łączności ze światowymi trendami, musimy, gorzej czy lepiej (zapewne na początku gorzej, a potem coraz lepiej) uprawiać, tak jak umiemy, jak najwięcej z tych dziedzin, które uprawia się gdzie indziej.

Tutaj jednak jest znowu pewna pułapka: polskiej (i każdej) historiografii grozi zarówno zamknięcie się wobec nowych prądów, jak i ich powierzchowne przejmowanie; coś co Piotr Wandycz, cytując Jenő Szűcsa, określił jako „płytką uprawę”. Podczas gdy niektórzy badacze nie zwracają uwagi na to, co się dzieje za granicą, inni, o bardziej entuzjastycznym nastawieniu, przejmują radośnie wszelkie kolejne pomysły. Negatywne efekty tej pierwszej postawy są oczywiste; tej drugiej są równie groźne. Każdy nowy paradygmat badawczy wymaga lat pracy, aby sprawdzić go w praktyce. Jeśli ktoś traktuje go poważnie, to wtedy, zanim skończy pracę, pojawią się nowe mody, nowe paradygmaty. Kto będzie ciągle przejmował wszystkie kolejne, z żadnego z nich nie skorzysta; co najwyżej będzie modyfikował swoje słownictwo tak, aby brzmiało za każdym razem modnie i europejsko. Między powierzchownym przejmowaniem frazeologii a zamknięciem się na nowości biegnie gdzieś ta właściwa *via media*, niełatwa do odnalezienia.

Ad 3. Czy polska historiografia może pozostać wspólna? Tak, może i powinna pozostać wspólna. A będzie tak wtedy, kiedy polscy historycy, otwarci na nowe idee, będą jednocześnie pozostawali w ramach polskiej tradycji intelektualnej. Hipotetyczna sytuacja, w której młody

polski historyk nie wiedziałby nic o dokonaniach badaczy amerykańskich, angielskich czy niemieckich jest perspektywą straszną, która oznaczałaby uwiad polskiej historiografii; ale równie straszna byłaby sytuacja odwrotna, w której młody ambitny polski, czeski czy węgierski historyk tak gruntownie jest przeniknięty ideami historiografii anglojęzycznej, że robi wszystko tak samo doskonale jak jego kolega z Oksfordu czy z Harvardu — tak, że w żaden sposób nie da się odróżnić, skąd pochodzi. Różnorodność narodowych i regionalnych tradycji badawczych jest olbrzymim atutem światowej historiografii i jej zanik oznaczałby tragiczne zubożenie naszej dziedziny wiedzy. Czytamy zagraniczne książki, spotykamy się z zagranicznymi kolegami, wciąż zmieniamy poglądy na różne rzeczy pod wpływem bombardujących nas nowych idei — ale przecież nie jesteśmy *tabula rasa*, te nowe idee padają na jakiś grunt. I nowe perspektywy badawcze tworzą się właśnie dzięki temu, że zagraniczne idee padające na grunt lokalny stają się czymś innym, niż byłyby bez tego gruntu. Jeśli mogę podać własne zupełnie osobiste odczucie. Studiowałem na Uniwersytecie Warszawskim w instytucie, którego pierwszym kierownikiem był Marcei Handelsman, a od dekad pracuję w instytucie założonym przez jednego z najważniejszych uczniów Handelsmana, Tadeusza Manteuffla. W jakiś sposób czuję się którymś tam pokoleniem szkoły Handelsmanowskiej i nie jest to dla mnie po prostu rytualne zaklęcie, konieczność odwołania się do tradycji przy odbywaniu rytualnej czynności, jaką jest wypełnianie ankiety dla „Kwartalnika Historycznego”. Naprawdę zdaje mi się, że jest jakaś ciągłość myślowa, której analizowanie w tej chwili za daleko by nas zawiodło. W każdym razie mam poczucie, że część moich poglądów naukowych jest „wyssana w macierzystym chlebie”, i w związku z tym także i te nowe poglądy i idee, które w ciągu życia absorbuję, ulegają jakiejś modyfikacji. Nie chodzi mi tutaj oczywiście o tzw. polski punkt widzenia, w znaczeniu ulegania nacjonalistycznym stereotypom. Chodzi mi o przynależność do pewnej tradycji intelektualnej, która choć bez wątpienia uboższa od tradycji historiograficznej angielskiej, niemieckiej czy francuskiej, ma przecież ważny i interesujący dorobek, a jej obecność jest czynnikiem wzbogacającym światową historiografię. Myślę, że istnienie tej tradycji jest jakimś czynnikiem, może słabym, ale jednak, utrzymującym jedność polskiej historiografii.

Co do syntezy: nie da się wyobrazić sobie historiografii bez syntez. Jest jakiś rytm wzajemnego wspierania się między monografiami a syntezami. Monografie pomagają nam rozumieć poszczególne zjawiska, a syntezy pozwalają umiejscowić te zjawiska w szerokiej perspektywie. Nie da się powiedzieć, które z nich są ważniejsze. Historiografia, która

tworzyłyby same syntezy, bez monografii, szybko wyczerpałaby się i zredukowała do ogólników; w najlepszym razie przekształciłyby się w historiozofię. Historiografia jednak, która tworzyłyby same szczegółowe monografie, byłaby pozbawiona możliwości zrozumienia czegokolwiek i popadłaby w niczego niewnoszące antykwaryczne przyczynkarstwo. Natomiast trzeba pamiętać, że pojęcia syntezy i monografii są niejasne (choć nie bardziej niejasne niż wszelkie inne pojęcia, jakich używamy w historiografii). Syntetyczność nie zależy od szerokiego tematu, lecz od umiejętności szerokiego i uogólniającego spojrzenia. W tym sensie również wartościowe monografie mają swój aspekt syntetyczny. Klarownego i jednoznacznego rozgraniczenia nie da się tu przeprowadzić.

Ad 4. Wreszcie, rzecz najtrudniejsza: społeczna funkcja historiografii. Najtrudniejsza z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że najłatwiej poddająca się wulgaryzacji. Zbyt łatwo osunąć się w „politykę historyczną”, której nie lubię (nie konkretnej polityki historycznej prowadzonej przez ten czy inny rząd, ale samej idei, że państwo ma interes w propagowaniu pewnej wizji przeszłości).

Społeczna funkcja historiografii istnieje, ale jest o wiele bardziej ulotna i nieuchwytna. Już kiedyś o tym pisałem, ale powtórzę: historia, jak filozofia, jak sztuka, skłania do refleksji; człowiek, który się nad historią poważnie zastanawia, staje się — jak ów gość weselny w *Pieśni o starym żeglarzu Coleridge’a* — „a sadder and a wiser man”, smutniejszy i mądrzejszy. Historia uczula na różnorodność wszechświata, uczy pokory, daje jakąś pogłębioną ciekawość rzeczy, być może w najgłębszych swych warstwach prowadzi do metafizyki (pewnie każda działalność ludzka w najgłębszych warstwach prowadzi do metafizyki). W tym sensie rozumiałbym przywołany przez redaktora „Kwartalnika” aforyzm Konopczyńskiego: niech historia służy społeczeństwu, sprawiając, że jego członkowie stają się mądrzejsi i bardziej refleksyjni, ale niech się nie wysługuje, udając, że jest w stanie dostarczyć jednoznacznych wskazówek w bieżących kwestiach społecznych i politycznych.

Ale jest i drugi powód trudności. Jakkolwiek ważna byłaby funkcja społeczna historii, sztuk pięknych, humanistyki, w tym szerokim, a nie wąsko-politycznym sensie, o którym pisałem powyżej, to nie ona jest celem pracy historyka. Celem jest poznanie samo w sobie. Wszelkie cele społeczne są tylko efektem ubocznym, istotnym, ale nie decydującym. Trzeba o tym pamiętać, bo bardzo groźny byłby utylitaryzm redukujący właściwe zadania wiedzy do jakichkolwiek potrzeb społecznych, choćby nawet bardzo usprawiedliwionych i palących.